

PIOTR CHŁYSTEK



TRENER

CZYNI MISTRZA



OPOWIEŚCI O ARCHITEKTACH SPORTOWEGO SUKCESU

BOŻENA KARKUT ALEKSANDER MATUSIŃSKI PIOTR NIEWIADOMSKI PAWEŁ SŁOMIŃSKI
IRENEUSZ MAZUR WOJCIECH WEISS RADOŚLAW ZAWROTNIAK TOMASZ IWAŃSKI
TOMASZ KRYK JANUSZ KRĘZEŁOK MARIA SAJDAK PIOTR STOKOWIEC
ZDZIŚLAW TOLKSDORF TOMASZ MAZUR JOANNA FIODOROW

TRENER

CZYNI MISTRZA

TRENER



BIBLIOTEKA
PRZEGLĄD
SPÓRTOWY

© Copyright by Ringier Axel Springer Polska 2023
© Copyright by Akademicki Związek Sportowy 2023

Redakcja merytoryczna: Wojciech Osiński

Korekta: Marcelina Samek

Projekt okładki: Przemysław Piotrowski/contentcorner.pl

Projekt layoutu: Łukasz Łabęcki

Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Zdjęcia: okładka – Tomasz Markowski, Jakub Gruca/Fokusmedia, Łukasz Sobala/Pressfocus, Łukasz Grochala/Cyfrasport, Paweł Andrachiewicz/Pressfocus, Michał Chwieduk/Fokusmedia; środki – Paweł Andrachiewicz/PressFocus, Mieczysław Świdorski (x2), Adam Starszyński/PressFocus, Marek Biczuk/PZLA (x4), Bartek Wójtowicz Fotograf, Michał Żukowski/Fotografia Sportowa, Maciej Śmiarowski (x2), Marcin Bulanda/Pressfocus, Piotr Bławicki/SE/East News, Maciej Gilewski/058sport.pl (x2), Archiwum prywatne, Michał Nowak, Radosław Józwiak/Cyfrasport (x2), Tomasz Markowski (x2), PAP/EPA-Junge Heiko, Tadeusz Klepczyński, Łukasz Trzeszczkowski, Sebastian Borowski, Natanael Brewczyński/400mm, Darek Delmanowicz/PAP, Ewa Milun-Walczak, Materiał prasowy AZS

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

Ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8250-328-9

Warszawa 2023

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	
Tym ludziom wypadła oddać głos	7
BOŻENA KARKUT	
Każdy dzień to cenna lekcja	11
ALEKSANDER MATUSIŃSKI	
Lepiej pracuje się z kobietami	31
PIOTR NIEWIADOMSKI	
Widzewski charakter	47
PAWEŁ SŁOMIŃSKI	
Jak (nie) zostać potworem	63
IRENEUSZ MAZUR	
Masz sukces, nie masz przyjaciół	95
WOJCIECH WEISS	
Z ojca na syna	111
RADOSŁAW ZAWROTNIAK	
Sportowiec to nie maszyna	125
TOMASZ IWAŃSKI	
Prezydentura lub śmierć w rynsztoku	139
TOMASZ KRYK	
Warto być sobą	161
JANUSZ KRĘŻEŁOK	
Przejażdżka kolejką górską	179
MARIA SAJDAK	
Jak zrobisz, tak będzie dobrze	195
PIOTR STOKOWIEC	
Piękna praca, ale trudna praca	209
ZDZISŁAW TOLKSDORF	
Siła w spokoju	227
TOMASZ MAZUR	
W roli wychowawcy	239
JOANNA FIODOROW	
Rozmowa to podstawa	255

OD AUTORA

Tym ludziom
wypada
oddać głos

Już dawno zrozumiałem, że trenerzy to osoby, które postrzegają otaczający świat inaczej niż zawodnicy, kibice i dziennikarze. Potrafią o nim opowiadać w sposób oryginalny, nie gryząc się w język i nie próbując zadowolić wszystkich wokół. Często celnie opisują rzeczywistość i to nie tylko tę sportową. Wiele do przekazania mają nawet ci, którzy sprawiają wrażenie spokojnych i wycofanych. Dlatego naprawdę warto oddać im głos i dlatego powstała ta książka. Powstała z przekonania, że o pracy trenerów wciąż mówi się zbyt powierzchownie. Zwłaszcza tych związanych z dyscyplinami indywidualnymi. Rzadko ich pracę się docenia, za to często zrzuca się na nich winę. W końcu w chwilach kryzysowych „łatwiej zwolnić szkoleniowca niż kilkunastu zawodników”.

A przecież bez właściwego prowadzenia trudno sobie poradzić i osiągnąć wielki sukces. O tym opowiadała mi Karolina Naja, gdy przygotowywałem książkę „Sport to nie wszystko”. Wypowiedź świetnej kajakarki długo pobrzmiwała mi w uszach, a wstęp do publikacji o trenerach jest idealnym miejscem, by ją przytoczyć: „Mnóstwo zależy od samego sportowca, ale bez towarzystwa odpowiedniej osoby trudno będzie dostać się na szczyt. Rywalizacja na poziomie wyczynowym to ogromne wyzwanie, a dzięki trenerowi można odciążyć głowę i nie trzeba się mierzyć ze wszystkim samodzielnie. Potrzebne jest jego spojrzenie, wspólna analiza, wymiana myśli. W tej kwestii prochu nie wymyślimy i rewolucji nie dokonamy. Trener musi być”.

Wielokrotnej medalistce olimpijskiej zdają się przytakiwać nawet największe legendy światowego sportu, które też uważają, że trener jest niezbędny. Nie przez przypadek Novak Djoković, Roger Federer i Rafael Nadal, a więc najwybitniejsi tenisści w historii, nawet w końcowej fazie swych

karier zatrudniali szkoleniowców – często byłych i mniej utytułowanych zawodników od siebie.

Na kolejnych stronach znajdziecie Państwo historie piętnastu wyjątkowych osób, które podzieliły się ze mną opowieściami o blaskach i cieniach swojego zawodu. Fantastyczni polscy trenerzy i trenerki okrasili je znakomitymi anegdotami oraz interesującymi spostrzeżeniami na temat mechanizmów funkcjonujących w polskim i nie tylko polskim sporcie.

– Przywykłem, że w relacjach zawodnik – trener najważniejszy jest zawodnik i to o nim mówią media oraz kibice. Mijają lata, a o sportowcach nadal się przypomina. A kto pamięta o trenerach? – zapytał podczas rozmowy ze mną Paweł Słomiński, któremu poświęciłem jeden z rozdziałów. – Było wielu znakomitych szkoleniowców w różnych pokoleniach, którzy po zakończeniu pracy odchodzili w zapomnienie. Ci trenerzy są nieznanymi, a są to często osoby bardzo utytułowane i zasłużone dla polskiego sportu. Według mnie problemem naszego środowiska i w ogóle polskiego społeczeństwa jest brak autorytetów. Postaci, które działają na wyobraźnię, które stanowią punkt odniesienia, a ich osiągnięcia wzbudzają powszechny podziw. Tylko tacy ludzie mogą wpłynąć na wyobraźnię młodych osób. Brakuje mi czegoś, co sprawi, że o wspaniałych trenerach będzie się przypominać – dodał Słomiński, a ja od razu pomyślałem, że tę lukę, przynajmniej częściowo, może wypełnić ta książka.

BOŻENA KARKUT

**Każdy dzień to
cenna lekcja**

Czy rozmowa o ciężkiej chorobie, utracie dziecka, grozie wojny, trudach macierzyństwa i problemach kobiet w męskim świecie może być przyjemna? Teoretycznie nie ma na to szans. A jednak po wywiadzie z Bożeną Karkut miałem poczucie, że niemożliwe nie istnieje. Była wybitna piłkarka ręczna i znakomita trenerka mogłaby nieustannie narzekać i miałaby do tego prawo, bo los jej nie oszczędzał. I choć w trakcie naszego spotkania kilka razy musiała ocierać łzy, to miałem wrażenie, że często się uśmiechała. Biło od niej ciepło pozwalające z optymizmem spojrzeć na świat, w którym sport może znaczyć więcej, niż nam się wydaje.

TRENERKA

Pani Bożena już niemal ćwierć wieku z sukcesami prowadzi żeńską drużynę Zagłębia Lubin. Ale to, że została trenerką, dla wielu było ogromnym zaskoczeniem.

– Kiedy zaczynałam przygodę z piłką ręczną, dookoła widziałam samych trenerów. Chyba nawet nikomu do głowy wówczas nie przychodziło, że kobieta może być szkoleniowcem. Jak zostałam studentką na AWF Wrocław, to najpierw wybrałam kierunek nauczycielski. Na drugim roku zdecydowałam jednak, że pójdę również na trenerski, a tam od początku wykładowcy pukali się w głowę, gdy widzieli dziewczyny. Pytali: „Gdzie wy się pchacie? Przecież kobieta nie może być dobrym trenerem”. Mimo to dobrze nas wykształcili, choć panowało wśród nich takie przekonanie, że panie to nadają się najwyżej do prowadzenia grup dziecięcych. Bo są cierpliwe i przypilnują urwisów. Na przykład gdy pójdą z nimi na basen, to zadbają o to, by każdy wysuszył włosy, założył czapkę i nie zgubił ręcznika. Pamiętam, że w wieku osiemnastu lat trafiłam w klubie AZS AWF Wrocław na trenerkę Stanisławę Gotówko-Cybulską. W tamtym momencie to była



Tak Bożena Karkut cieszyła się z mistrzostwa Polski w 2023 roku. To był już jej czwarty tytuł wywalczony w roli trenerki Zagłębia Lubin.

istna rewolucja! Zdobyłyśmy z nią srebrny medal mistrzostw kraju i Puchar Polski, ale od początku było jasne, że jest ona tylko szkoleniowcem tymczasowym i pomimo dobrych wyników po sezonie szukano jej następcy. Nikt nawet nie brał pod uwagę, by została na stanowisku. Z kolei w kadrze spotkałam Teresę Pecold, która opiekowała się bramkarkami. Obie panie pokazywały, że można, ale stanowiły wyjątek od reguły – opowiada Karkut, która kobiety trenerki częściej zaczęła spotykać dopiero po wyjeździe do Norwegii, gdzie występowała w latach 90. Tam wychodzono z założenia, że nikt nie nauczy zawodników i zawodniczek techniki lepiej niż były sportowiec. Wielokrotnym reprezentantkom Norwegii wręcz

szukano pracy przy piłce ręcznej, z przekonaniem, że taka osoba powinna pozostać przy sporcie.

– U nas wtedy jeszcze było inaczej. Gdy zaczynałam pracę w Zagłębiu na początku XXI wieku, to czułam się w zasadzie jak w kraju arabskim. Zdarzały się bolesne sytuacje. Wielu nie mogło zaakceptować kobiety w męskim świecie. Trenerzy nie radzili sobie z tym, że „przegrali z babą” i nie potrafili podać ręki po meczu. Do klubu czy nawet do mojego domu przychodziły obrzydliwe anonimy z wyzwiskami. Do Związku Piłki Ręcznej w Polsce z nieznanymi mi źródeł trafiały pisma, w których informowano, że podobno namawiam swoje zawodniczki do stosowania dopingu, więc co chwilę pojawiali się u nas kontrolerzy. Podwójne standardy obowiązywały też w sędziowaniu. Często opowiadam anegdotę z meczu przeciwko ekipie z Lublina. Rywalki atakowały, ale moim zdaniem popełniły błąd, więc w pewnym momencie zerwałam się z ławki i krzyknęłam: „No przecież kroki były!”. Sędzia natychmiast dał mi karę, musiałyśmy grać w osłabieniu. A przecież nikomu nie ubliżyłam, nie zrobiłam nic strasznego. Po kilku minutach w spornej sytuacji arbiter przyznał nam piłkę, na co trener przeciwniczek zareagował słowami: „Kur..., co ty gwizdzesz?!”. Sędzia podszedł do niego i powiedział tylko: „Usiądź i uspokój się”. Dziś w polskim środowisku trenerskim sytuacja kobiet wygląda dużo lepiej, aczkolwiek sporo jest jeszcze do zrobienia. Świadczy o tym scena z niedawnej konferencji trenerskiej. Jeden ze szkoleniowców wszedł na mównicę i zwrócił się do wszystkich słowem „panowie”, choć na sali była grupa kobiet. Dlaczego oni się tak zachowują? To już ich trzeba zapytać. Pewne stereotypy wciąż funkcjonują, choć pozytywne zmiany są widoczne. Opowiadano mi, że w innych klubach coraz częściej zatrudnia się kobiety w roli trenerki, bo skoro „Karkutowa w tym Zagłębiu od tylu lat robi

wyniki, to innej też można dać szansę” – takie słowa dowodzą, że wrocławianka przełamywała bariery i dziś może być określana mianem prekursorki, bo jako jedna z pierwszych kobiet w naszym kraju tak mocno rozpychała się łokciami w zarezerwowanym dla mężczyzn środowisku.

Karkut karierę zawodniczą zakończyła w czerwcu 2000 roku, a już w sierpniu zaczęła pracę w Lubinie. Najpierw była asystentką Romana Jezierskiego, lecz po paru miesiącach zastąpiła go i samodzielnie musiała poprowadzić zespół, w którym wciąż występowały jej koleżanki z parkietu.

– Na początku na pewno bardziej byłam dla zawodniczek koleżanką niż szefową, ale podczas meczów czy treningów stawiałam granicę i nie było ze mną dyskusji, bo czułam, że to ja muszę podejmować decyzje i na mnie spoczywa odpowiedzialność za drużynę. Część dziewczyn, z którymi biegałam po boisku, to zaakceptowała, a inne się obrażały i przestały mi mówić po imieniu, tylko z przekąsem zwracały się do mnie „pani trener” – wspomina pani Bożena, która przy okazji potwierdza, że opinie sugerujące, iż zespoły kobiece prowadzi się trudniej niż męskie, są w pełni uzasadnione.

– Uważam, że to prawda, choć trudno było mi to kiedyś zrozumieć. Może to dlatego, że wychowałam się na podwórku z chłopakami na styku ulic Piastowskiej, Grunwaldzkiej i Sienkiewicza we Wrocławiu. To nie była łatwa i przyjemna okolica. Tam jak się komuś coś nie podobało, to szybko wyjaśniano sprawę. A wracając do kwestii kobiecych relacji w sporcie, to przyznaję, że dziewczyny są bardzo pamiętliwe, bo być może są też bardziej wrażliwe. Przywołam jedną historię, która dobrze to pokazuje. Kilka sezonów temu od początku rozgrywek czułam, że zupełnie nie mogę się dogadać z jedną piłkarką. Nie było między nami chemii. Minęło pół sezonu i nic się nie zmieniło. Wobec tego poprosiłam ją do siebie na

rozmowę. Pytam, o co chodzi, a ona na to: „Bo jak grałyśmy w wakacje turniej towarzyski w Koszalinie, to pani nie zareagowała i nie zwróciła uwagi jednej z dziewczyn, która się na mnie wydarła”. Zapytałam, czy nie szkoda jej życia na takie drobnostki. Bo mając w zespole kilkanaście zawodniczek i dodatkowe osoby w sztabie, naprawdę nie jestem w stanie wyłapać tego, co każdy powiedział i jaką zrobił minę. Po tylu latach pracy nadal uważam, że każdy dzień to cenna lekcja, podczas której można się wiele nauczyć. Kobięca szatnia to zawsze niesamowita mieszanka charakterów. Teraz w kryzysowych momentach szybciej zapala mi się czerwona lampka i błyskawicznie reaguję, ale ze spokojem, by niczego nie zaogniać. To ważne w sytuacjach konfliktowych – wyjaśnia.

– Poza tym kobiecie bardzo trudno jest prowadzić kobiecy zespół. Często widzę, że jak przyjdzie jakikolwiek facet i powie cokolwiek, to zawodniczki od razu robią maślane oczy. Kobieta może mówić to samo, ale to już na nich takiego wrażenia nie robi. Podam przykład. Krótco po rozpoczęciu pracy z Zagłębiem przedstawiłam piłkarkom swoje warunki. Nie ma jedzenia fast foodów, nie ma picia coli i pilnuję ich wagi, za to są poranne treningi i czasem zajęcia w terenie. Słyszałam, że chyba mnie pokręciło. Minęło jakieś dziesięć lat i do klubu z Gdyni trafił duński trener Thomas Örneborg. Miał identyczne wymagania, ale zarówno zawodniczki, jak i media były zachwycone. Wystarczyło to, że był z zagranicy. Dlaczego tak jest? W Polsce to, co nasze, wciąż często uchodzi za gorsze. Gdy grałam w Jugosławii i innych krajach, w przypadku porażki to zawsze mnie i innym zawodniczkom z obcych krajów się obrywało, bo od nich wymagano więcej. Nikogo nie obchodziło, że tęsknię za rodziną, że mogę mieć kryzys fizyczny. Podpisałaś kontrakt, to graj! A u nas jest odwrotnie. Z obcokrajowcami obchodzimy się jak z jajkiem, chcemy

rozwiązywać za nich każdy problem, traktujemy ich lepiej niż naszych. To samo jest z trenerami. Za te same błędy częściej obrywa się krajowym niż zagranicznym. Zawodnicy i zawodniczki w Polsce tresują szkoleniowców. Często są niepokorni, wszystko im się nie podoba, sugerują, że w innych krajach na pewno jest lepiej. Dopiero jak z tych krajów wracają do domu, to ich optyka się zmienia. Jak ktoś u nas narzeka, to zapraszam np. na Balkany. Tam go dopiero przeczolągają – dodaje Karkut, która uważa, że nieraz pomogła jej tzw. kobieca intuicja.

– Według pani naprawdę istnieje coś takiego? – zapytałam, a ona twierdząco pokiwała głową. – W jaki sposób ta intuicja przydaje się w sporcie? – dążyłem.

– Gdy byłam zawodniczką, pomagała podjąć decyzję. Na boisku masz ułamki sekund, by ocenić, czy podaję, rzucam, a może wychodzę do przechwyty i zazwyczaj wybierałam właściwie. Od kiedy jestem trenerką, mam wrażenie, że ta intuicja podczas analizy podpowiada mi, jak mogą zachować się rywalki, jak będzie postępował ich trener w określonych sytuacjach. Taką intuicję nazywam też pomocą bożą. Nie wiem dlaczego, ale nagle skądś przychodzą takie myśli, o tym, kogo wpuścić na boisko w danej chwili lub jakiej taktyki użyć – tłumaczy.

Bez względu na to, czy Karkut korzystała z pomocy sił nadprzyrodzonych, czy kobiecej intuicji, zazwyczaj dokonywała dobrych wyborów. W przeciwnym razie nie byłaby trenerką klubu z Lubina przez prawie ćwierć wieku. Jak to w ogóle możliwe, zwłaszcza w realiach polskiego sportu, gdzie nagłe zwolnienia szkoleniowców są na porządku dziennym?

– Miałam propozycje z innych klubów, ale pozostałam wierna Zagłębiu. Po pierwszym mistrzostwie zdobytym w 2011 roku bardzo długo, bo aż dziesięć lat musieliśmy

czekać na kolejny tytuł. W tym okresie wiele osób domagało się mojego zwolnienia. Jak potem wreszcie trzy razy z rzędu zdobyliśmy złoto, to żadna z nich nie powiedziała „przepraszam” ani „gratuluję”. Muszę podziękować władzom klubu za zaufanie. Zwłaszcza prezesowi Witoldowi Kuleszy, który jest bardzo cierpliwy i jako były piłkarz doskonale rozumie sport. Sądzę, że kluczem do naszych sukcesów jest to, że w Zagłębiu funkcjonujemy jak w rodzinie. Gdy jest jakiś problem do rozwiązania, wszyscy się zbieramy, debatujemy, jak temu zaradzić. Interesujemy się tym, co słyhać u innych nie tylko w sprawach sportowych, lecz także prywatnych, bo to pomaga budować więzi. Pamiętamy, że sportowcy to nie maszyny do osiągnięcia sukcesów – podkreśla.

Aż dziw bierze, że tak utytułowana trenerka i jednocześnie wybitna zawodniczka nigdy nie dostała zaszczytu prowadzenia reprezentacji Polski. Trzeba jednak zauważyć, że dwukrotnie była bardzo blisko objęcia funkcji selekcjonerki. Pierwszą ofertę otrzymała od Rady Trenerów ZPRP w 2006 roku, ale odmówiła. Uznała, że jej czas jeszcze nadejdzie, a teraz przysłała pora na kogoś ze starszych, bardziej doświadczonych i uznanych trenerów, takich jak Zygfryd Kuchta czy Zenon Łakomy. Druga oferta to już rok 2010. Karkut była nawet wstępnie dogadana z prezesem ZPRP Andrzejem Kraśnickim, ale kadre objął jednak Duńczyk Kim Rasmussen.

– Już się z tym pogodziłam, ale wtedy miałam żal, bo nikt mi o niczym nie powiedział, niczego mi nie wyjaśniono. O tym, że reprezentacja ma nowego trenera, dowiedziałam się z radia – wyznaje.

Ostatecznie Karkut w pewnym momencie została selekcjonerką, ale reprezentacji kobiet w piłce ręcznej plażowej. Pełniła tę funkcję w latach 2009–12, gdy ta dyscyplina dopiero raczkowała. Nie tylko w naszym kraju.

– Po raz pierwszy spotkałam się z nią w 1997 roku. Podejrzewam, że byłam jedną z pierwszych osób z Polski, która ją poznała. Na zakończenie sezonu pojechałam z klubem Hypo Niederösterreich na Sycylię. Tam najpierw rozegrałyśmy turniej w klasycznej odmianie handballu, a potem te same drużyny walczyły ze sobą na plaży. Do swojej pracy z kadrą podeszłam bardzo profesjonalnie. Długo analizowałam grę rywelek, ścigałam też do drużyny świetne zawodniczki z parkietu. Jedną z nich była Klaudia Pielesz, która została jedną z najsukuteczniejszych piłkarek podczas mistrzostw Europy. Fajnym przeżyciem był też wyjazd na mistrzostwa świata do Omanu. Szkoda tylko, że nie udało nam się wywalczyć medalu na dużej imprezie – przyznaje.

ZAWODNICZKA

Zanim Karkut została trenerką, była zawodniczką. I to jaką! Początkowo jednak nie myślała o tym, by zostać szczytniczką. W trakcie nauki w piątej klasie podstawówki bardzo chciała dostać się do Szkolnego Klubu Sportowego do grupy koszykarskiej, ale na sprawdzianie, jako praworęczna, nie trafiła lewą ręką do kosza z dwutaktu i nie została przyjęta. Po niepowodzeniu koszykarskim przez jakiś czas jedynie obserwowała ćwiczące koleżanki, z którymi po zajęciach chodziła pograć w piłkę nożną. Któregoś dnia ogłoszono kolejny nabór do SKS, tym razem w piłce ręcznej. Wkrótce Karkut została bramkarką i znalazła się nawet w reprezentacji szkoły, do której wzięła ją Barbara Karpińska – żona znakomitego trenera piłki ręcznej Marka Karpińskiego. Niebawem rodzice podjęli jednak decyzję o przeprowadzce na drugi koniec Wrocławia, a ich córka musiała zmienić szkołę. W nowym miejscu już mieli bramkarke, więc nauczycielka zaproponowała Bożence występ w polu. Gdy ta się krzywiła, powiedziała jej:



Bożena Karkuś była znakomitą szczypiornistką. Co ciekawe, jako zawodniczka praworęczna występowała zwykle na prawym skrzydle. Dziś w piłce ręcznej to się praktycznie nie zdarza.

„Spokojnie, to prosta gra. Robisz trzy kroki i rzucasz”. Niedługo później od brata usłyszała o trenerze Jerzym Dyrkaczu i prowadzonej przez niego znakomitej juniorskiej drużynie AZS AWF Wrocław.

– Bardzo chciałam tam trafić, więc moja mama zdobyła numer i zadzwoniła do trenera Dyrkacza, który wychował ponad czterdzieści reprezentantek Polski. Początkowo nie zamierzał się zgodzić, aż w końcu powiedział, że weźmie mnie na trzymiesięczny okres próbny. Już po pierwszym treningu poprosił mnie jednak, bym na kolejny przyniosła swoje zdjęcie, bo trzeba będzie mnie zgłosić do rozgrywek – mówi Karkut, która z ekipą AZS w rozgrywkach juniorskich co sezon grała o medale mistrzostw kraju. Podobnie było zresztą na szczeblu seniorskim. Złoty medal z 1984 roku to najpiękniejsze wspomnienie pani Bożeny z czasów gry w dorosłej drużynie z tak klasowymi szczypiornistkami, jak Halina Moroz-Rac, Irena Pacek, Danuta Darmstetter czy Danuta Załęska.

– Fajnie mnie przyjęły. Nie było żadnych akcji w stylu: „Ej, młoda! Przynieś piłki”. Szanowały to, co robiłam, bo też od razu zorientowały się, że mogę im pomóc w walce o najwyższe cele – wyjaśnia Karkut, która wraz z koleżankami z AZS kilka razy uczestniczyła też w Akademickich Mistrzostwach Polski. Wówczas AMP były uznawane za małe mistrzostwa kraju, bowiem swoje drużyny wystawiały w nich ekstraklasowe ekipy z Wrocławia, Gdańska czy Krakowa. To właśnie w tych zawodach Karkut ustanowiła swój strzelecki rekord kariery wynoszący dziewiętnaście goli w jednym spotkaniu.

Nieprzeciętny talent pozwolił jej dość szybko zadebiutować w seniorskiej reprezentacji, z którą jednak nigdy nie awansowała na turniej olimpijski, choć dwa razy była bardzo blisko. Najpierw w grudniu 1983 roku podczas MŚ Grupy B w katowickim Spodku, gdzie 22-letnia Karkut była kapitanką

zespołu. Te mistrzostwa były jednocześnie kwalifikacjami do zbliżających się igrzysk w Los Angeles. Olimpijską przepustkę uzyskiwały tylko zwyciężczynie imprezy, a Polki przegrały w finale z NRD 19:20. Inna sprawa, że do USA nasze szczypiornistki i tak by nie pojechały, bowiem kilka miesięcy później ogłoszono, że grupa państw bloku wschodniego, w tym Polska, zbojkotuje zawody za oceanem. Po raz drugi awans na igrzyska przeszedł Biało-Czerwonym koło nosa w 1990 roku podczas mistrzostw świata w Korei Południowej, w których Karkut była królową strzelczyń (jest pierwszą i na razie ostatnią Polką, która triumfowała w klasyfikacji najskuteczniejszych piłkarek w imprezie tej rangi). Nasze zawodniczki do szczęścia potrzebowały jedynie zwycięstwa w ostatnim meczu fazy wstępnej z Austrią. Dzięki niemu weszłyby do czwórki, walczyłyby o medal i tym samym uzyskały prawo uczestnictwa w olimpijskich zmaganiach w Barcelonie w 1992 roku. Polski zespół przegrał jednak 21:22.

– Trochę nas ten mecz z Austrią przerósł. I drużynę, i sztab szkoleniowy. Tak to oceniam z perspektywy czasu, mając już duże doświadczenie trenerskie. Potrzebowałyśmy przed meczem większego wsparcia i lepszej analizy. Zakwaterowano nas wtedy w luksusowym ośrodku Lotte World z małym Disneylandem w środku. Tam na każdym piętrze były niesamowite atrakcje, a my ze wszystkich chciałyśmy skorzystać, próbując zająć czymś głowę. Biegałyśmy po hotelu, byle tylko nie myśleć o kluczowym meczu. Nie poradziłyśmy sobie ze stresem i źle zaczęłyśmy. Rywalki odskoczyły na kilka goli, a poza tym mogły liczyć na wsparcie arbitrow. Szefem sędziów na turnieju był Austriak, więc w końcu nie byłyśmy zaskoczone, gdy nagle przeciwniczki dostały karnego z kapełusza, a nam anulowano prawidłową bramkę z kontry. Szkoda, że tak to się ułożyło. Zwłaszcza że Austriaczki miały spore

problemy zdrowotne i nie wszystkie piłkarki były u nich zdolne do gry. Mogłyśmy to lepiej wykorzystać. Do dziś bardzo żałuję, że nie udało mi się zagrać w igrzyskach i nie mogłam zobaczyć z bliska, jak wygląda to niesamowite święto sportu, nie mogłam zamieszkać w wiosce z przedstawicielami innych dyscyplin – podkreśla Karkut, która niepowodzenia z kadrą powetowała sobie w rozgrywkach klubowych. Po wielu sezonach spędzonych w AZS AWF Wrocław przeniosła się do innego wrocławskiego klubu – Ślęzy, by wreszcie w 1989 roku, w wieku 28 lat, wyjechać z kraju. Występowała w Voždovacu Belgrad, norweskich zespołach Haugerud Oslo, Vestar Oslo i Toten HK, a potem, po kolejnych kilku latach w AZS AWF Wrocław, znalazła się w austriackim Hypo Niederösterreich, z którym zwyciężała w Lidze Mistrzyń w 1998 i 2000 roku. Niezwykła była zwłaszcza wyprawa do Jugosławii będącej wówczas potęgą w grach zespołowych.

– Nawet po ciemku tam ucztowano, śpiewano i cały czas w coś grano. Jak nie w piłkę, to w kosza. Tam wszyscy byli aktywni fizycznie, choć infrastruktura sportowa pozostawiała wiele do życzenia – wspomina. Trzeba jednak zaznaczyć, że choć wyjazd na Bałkany poprawił jej sytuację finansową, to pobyt w Belgradzie przypadł na okres poprzedzający wojnę w tym regionie Europy.

– Pojechałam kiedyś na drugi koniec miasta do mojej koleżanki z Bułgarii, którą znałam z meczów reprezentacji. Kiedy przebywałam w jej domu, na jedną z głównych ulic pod budynkiem telewizji wyjechały czołgi. Doszło do zamieszek, była strzelanina i ofiary. Na noc musiałam zostać u koleżanki, nie było mowy o powrocie do mojego mieszkania. Rodzina, która została w Polsce, nie mogła się do mnie dodzwonić, wszyscy umierali ze strachu, bo to przecież nie były czasy telefonów komórkowych – opowiada i dodaje, że w tamtych latach

praktycznie każdy w Jugosławii miał broń i nawet podczas chrzcin czy wesel urządzano zabawy z użyciem pistoletów.

– Mentalność ludzi z Bałkanów jest, mówiąc delikatnie, dość specyficzna. Gdy zbliżała się wojna, po Belgradzie jeździli przedstawiciele innych narodowości niż serbska i strzelali w okna mieszkań. Bywały przypadki, że człowiek spokojnie oglądał sobie telewizję w pokoju i za chwilę już nie żył. Czasem też gdy ktoś miał otwarty balkon, wrzucali do mieszkań petardy. Jedna wpadła kiedyś do mojego. Moją czteroletnią wówczas córkę obudził potworny huk. Do dziś jest to dla niej traumatyczne przeżycie – przywołuje wydarzenia sprzed lat.

Karkut podkreśla jednak, że pobyt w każdym z krajów coś jej dał. Wszędzie uczyła się języków, bo uważała to za swój obowiązek. Wszędzie też nawiązała przyjaźnie, które przetrwały próbę czasu.

– Mogłabym narzekać na to, co spotkało mnie w Jugosławii. Trener przychodził na zajęcia z kawką, gazetką i papieroskiem. Poza tym często się spóźniał i ostro traktował zawodniczki. Latem w hali bez klimatyzacji w temperaturze 40 stopni Celsjusza organizował po trzy treningi dziennie. W ich trakcie nie pozwalał pić wody i kazał ćwiczyć w dresach. Wszystko po to, by w sezonie, gdy będzie chłodniej i ściągnie się dres, czuć się lżej i swobodniej na parkiecie. Pomimo takiego sposobu przygotowań osiągnęłam życiową formę i na mistrzostwach świata w 1990 roku w Korei Południowej zostałam królową strzelczyń i najlepszą prawoskrzydłą. Pobyt w Belgradzie to była taka szkoła życia. Z kolei w Norwegii nauczyłam się czerpania radości z gry. U nas zawodnicy nie cieszyli się wtedy po zdobyciu bramki. Piłka w siatce oznaczała tylko dobrze wykonaną robotę. Nikt tego specjalnie nie celebrował. A tam dziewczyny kazały mi podnosić rękę w geście triumfu po każdym trafieniu. Kilka miesięcy minęło, zanim

weszło mi to w krew. Ponadto w Norwegii była taka zasada, że każda zawodniczka co jakiś czas prowadziła treningi z grupami młodzieżowymi. To doświadczenie pomogło mi potem w pracy trenerskiej. Najbardziej w nowej roli przydały mi się jednak obserwacje poczynione w Austrii, bo grałam tam pod okiem naprawdę wybitnych trenerów – ocenia.

MATKA

Patrząc na sportowców i szkoleniowców, często oceniamy ich jedynie przez pryzmat tego, co dzieje się na arenie. Nic dziwnego, że dla wielu Karkut to tylko była zawodniczka i trenerka. Ale zgodnie stwierdziliśmy, że w swoim życiu pełniła jeszcze jedną, istotniejszą rolę. Rolę matki.

– Pierwsze dziecko straciłam. Synek się urodził, ale niedługo później zmarł. Dlatego gdy na świat przyszła potem upragniona córka, bardzo bałam się o jej zdrowie – powiedziała, ale pomiędzy słowami robiła długie pauzy. Widziałem, że próbowała zachować spokój, lecz w pewnym momencie w jej oczach pojawiły się łzy. Trochę pomilczeliśmy.

– Kiedy zorientowałam się, że po raz drugi jestem w ciąży, akurat zaczęło się mówić o katastrofie w elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Okres oczekiwania na poród to ciągły strach i obawy, czy to, co stało się w ZSRR, może jakoś wpłynąć na mnie, a szczególnie na moje dziecko. Córka urodziła się długo przed planowanym terminem. Kilka lat później nagle zachorowała, przez tydzień miała olbrzymią gorączkę, bo termometr cały czas pokazywał 40 stopni. Szpital opuściła bez diagnozy, lekarze nie potrafili stwierdzić, co się z nią działo. Wciąż się o nią martwię. Śmiało mogę powiedzieć, że gdy była mała, to na nią chuchałam i dmuchałam, żeby tylko nic złego jej się nie przytrafiło. Ale dzięki niej stałam się mocniejsza. Wróciłam na parkiet już dwa miesiące po porodzie. To dziś

się praktycznie nie zdarza. Od razu wystąpiłam w meczu ligowym. Mierzyłyśmy się ze Startem Gdańsk. Nigdy nie czułam się tak dobrze na boisku! Wszystko mi wychodziło, rozegrałam jedno z najlepszych spotkań w życiu. Gdy trafiłam do austriackiego Hypo Niederösterreich, przed rozpoczęciem jednego sezonu trener Gunnar Prokop powiedział, że celem zespołu jest zdobycie Pucharu Europy i ten cel rzeczywiście udało nam się później zrealizować. Mówił: „Wierzę w to, bo mam w drużynie czternaście matek. A matki są mocne. Matki są zorganizowane. Matki sobie poradzą”. To było wspaniałe – opowiadała mi pani Bożena drżącym głosem.

– Grałam, gdy miałam małe dziecko, a zatem wiem, jakie to wyzwanie. Przez lata, kiedy jechałam na jakiś obóz, zostawiałam córkę w domu. Dopiero w Austrii wraz z innymi zawodniczkami miałam szansę, by brać ze sobą dziecko, a kto chciał, mógł też zaprosić męża czy nianię. Dziś to dla mnie oczywiste, by moje piłkarki miały takie możliwości – podkreśla. – Czasem zbliża się ważny mecz, ale zawodniczka dzwoni do mnie z płaczem i informacją, że dziś nie jest w stanie trenować, bo całą noc nie spała i musiała zajmować się dzieckiem. Nie jestem trenerem, który w takich chwilach mówi: „Masz zapłacone, masz trenować”. Rozumiem je, więc też inaczej reaguję na takie komunikaty. Nie da się jednak ukryć, że kobiety, które chcą wejść na szczyt w sporcie czy innych dziedzinach życia, muszą mieć osobowość, muszą radzić sobie z presją i wieloma przeciwnościami. Trudno jest nam ułożyć sobie życie prywatne. Wyjazdy na obozy, zgrupowania i mecze nie dają nam zbyt dużo czasu choćby na lepsze poznanie naszych przyszłych partnerów. Być może dlatego wiele z nas jest po rozwodach – opowiada.

Pani Bożena zawsze martwiła się o swoje dzieci i zawodniczki oraz ich rodziny. W pewnym momencie jednak równie

mocno zaczęła martwić się o siebie. Podczas przygotowań do sezonu 2021/22, w którym Zagłębie sięgnęło po mistrzostwo, zdiagnozowano u niej nowotwór. W sierpniu 2021 roku przeszła operację, a następnie radioterapię.

– Znalazłam się w sytuacji, w której człowiek zaczyna zadawać sobie różne pytania. Tych pytań było coraz więcej, gdy zbliżały się kolejne badania i operacja. O chorobie dowiedziałam się na początku przygotowań, więc uznałam, iż muszę powiedzieć o tym prezesowi klubu, by na wszelki wypadek rozzejrzał się za nowym szkoleniowcem, gdyby wydarzyło się coś złego. Musiałam brać pod uwagę nawet najgorszy scenariusz. Wtedy usłyszałam: „Co będzie, to będzie. Na razie pracuj. Nikogo szukać nie będziemy”. Czułam wsparcie szefa. Podobnie było w drużynie. Dziewczynom również powiedziałam o diagnozie, by oswoiły się z myślą, że za chwilę być może będą pracować z innym trenerem. Najpierw zrobiło się smutno. Ale po treningu zawodniczki mnie przytulały, zapewniały, że wszystko będzie dobrze. Gdy jechałam do szpitala na operację, to od każdej z nich dostałam jakąś wiadomość. Każda z nich była piękna, każda dodawała mi sił. W trakcie sezonu bardzo pomogła mi Renata Jakubowska – moja asystentka i była znakomita szczypiornistka. Były dni, że słabo się czułam. Wtedy zawodniczki podchodziły do mnie i mówiły, że jak chcę odpocząć, to spokojnie mogę iść do domu i mam się nie martwić, bo one wszystko razem z Renią zrealizują. To koresponduje z moimi wcześniejszymi słowami o rodzinnych relacjach w Zagłębiu. Jedna z najmłodszych piłkarek powiedziała mi, że jej mama jest pielęgniarką i jak będzie trzeba coś załatwić w szpitalu, to ona zadziała. Inna z kolei szukała rozwiązań z obszaru medycyny niekonwencjonalnej, które mogłyby mi pomóc, tak jak pomogły jej mamie. One wszystkie chciały mnie wyleczyć. To było takie urocze! Mam naprawdę

boski zespół – stwierdziła wyraźnie wzruszona. – Przeszłam wiele, za mną dużo trudnych chwil. Sport mi w nich pomógł, bo miałam do czego wracać. Ja dzięki niemu żyję – dodała, a po jej policzkach znów popłynęły łzy. Na szczęście dziś czuje się już dobrze.

– W walce z chorobą pomogła mi również wiara. Religia jest dla mnie bardzo ważna. Przed meczami zostaję w szatni, lubię porozmawiać sobie z Bogiem. Wtedy jestem spokojniejsza – zaznacza trenerka, której zespół podczas spotkań pobudza się łacińskim zawołaniem „Sursum corda!” tłumaczonym na język polski jako „W górę serca!” i wypowiedianym podczas mszy świętej.

Pisząc o Bożenie Karkut, nie można zapomnieć, że pracuje ona również jako nauczycielka w liceum SMS Zagłębie Lubin będącym niepubliczną Szkołą Mistrzostwa Sportowego. Zresztą władze szkoły także bardzo jej pomogły w trakcie choroby.

– Im też należą się podziękowania. Pracując w szkole, widzę, że nastolatki coraz rzadziej garną się do trenowania różnych dyscyplin. W ostatnich latach podejście dzieci do sportu bardzo się zmieniło i niestety wszystko zmierza ku gorszemu. Mam coraz większe dylematy podczas naborów i zajęć. Niekoniecznie trafiają do nas ci, którzy mają predyspozycje, ale z drugiej strony, czy wypada im zwracać uwagę i zaostreć treningi, gdy widać, że chcą ćwiczyć i wylewają pot, a ich rówieśnicy tylko siedzą w domach przed komputerem? Non stop trzeba wprowadzać korekty do programu zajęć, bo z każdym rokiem dzieci są coraz mniej sprawne. Poza tym byle co sprawia, że się zniechęcają. Najmłodszy są przebodźcowani i widzą, że są łatwiejsze drogi do sławy i pieniędzy niż ta wiodąca poprzez sport. Jeśli cokolwiek chcemy zmienić, to musimy doprowadzić do sytuacji, w której WF

w szkole będzie stał na wyższym poziomie i uczeń pozna na lekcjach różne dyscypliny. Trzeba zacząć od podstaw, ale dziś mało kto o nich myśli – podkreśla Karkut, która w dzieciństwie chciała zostać weterynarzem, a od lat jest inicjatorką różnych zbiórek na rzecz pokrzywdzonych zwierząt. Jej główną pasją obok sportu jest jednak historia. Głównie historia Polski, a w szczególności okres związany z naszą walką o niepodległość.

– Dziadek był żołnierzem Armii Krajowej we Lwowie, mama zakładała struktury Solidarności na AWF we Wrocławiu, a wszyscy jej bracia działali przez lata w opozycji. Teraz na ich grobach w rocznicę śmierci pojawiają się znicze od władz państwowych. Ja też jestem patriotką z krwi i kości. Nigdy nie wstydziłam się polskości, gdy występowałam w klubach zagranicznych. Chyba byłam niezłą ambasadorką, bo wielokrotnie słyszałam od różnych osób w innych krajach, iż wpłynęłam na to, że zmienili swoje zdanie o Polsce. Na lepsze! – powiedziała z uśmiechem na zakończenie trwającej kilka godzin rozmowy w jej rodzinnym Wrocławiu. Do hotelu wróciłam z przekonaniem, że właśnie spotkałam jedną z najbardziej niezwykłych kobiet w polskim sporcie.

BOŻENA KARKUT

Urodzona w 1961 roku we Wrocławiu. Była reprezentantką Polski w piłce ręcznej. Z ekipą AZS AWF Wrocław sięgnęła po mistrzostwo kraju w 1984 roku. Królowa strzelczyń i najlepsza prawoskrzydłowa mistrzostw świata w 1990 roku. Z austriackim klubem Hypo Niederösterreich dwa razy triumfowała w Lidze Mistrzyń (1998 i 2000). Po zakończeniu kariery została trenerką. Od 2000 roku prowadzi kobiecą drużynę Zagłębia Lubin, z którą przez 23 lata zdobyła 4 złote, 11 srebrnych i 3 brązowe medale mistrzostw kraju oraz 8 razy sięgała po Puchar Polski.